

W pogoni za Godotem

2 stycznia 2021

Dziś podejmuje się wszelkie możliwe starania, aby o nich młode pokolenie wiedziało jak najmniej, a jeśli już to tylko samo zło, najlepiej z Biuletynu Informacji Publicznej IPN.

Jego rodzina pochodziła podobno od Węgrów, którzy osiedli na świętokrzyskiej ziemi ileś lat – wieków – temu. Ale co to miało obecnie za znaczenie? Ojciec był fornałem u pana we dworze, a mieszkali w czworakach. Żyli tu jak inni w przydworskich pomieszczeniach – na łasce dziedzica i bez nadziei na zmianę losu. Tylko najstarszy Józek (miał jeszcze brata Tadka i siostrę Marysię), był od małego jakimś odmieńcem. Zanim poszedł do szkoły już umiał czytać – nauczyła go babcia na książeczce do modlitwy. Szkołę powszechną skończył z wyróżnieniem i rodzice, namówieni przez nauczyciela, zapisali go do gimnazjum w oddalonym o 8 kilometrów Ostrowcu Świętokrzyskim. Mógł je ukończyć tylko dlatego, że ojciec sprzedał krowę na opłatę czesnego i inne konieczne wydatki, a pan dziedzic – to sprawiedliwie należy dodać – też dołożył. Miał małą maturę, ale żadnej innej pracy, a więc siedząc dalej na wsi pracował na roli.

Wybuch wojny niewiele tę sytuację zmienił, poza narastającymi represjami okupanta, które zaczęły doskwierać także wsi. Budził się sprzeciw polskiego ludu: wpierw były to różnego rodzaju akty nieposłuszeństwa i działania na szkodę okupanta, później opór zbrojny.

W 1943 roku za przykładem i namową starszych i on rozpoczął walkę z okupantem w oddziale Gwardii Ludowej. Jak mówił po latach, do Gwardii trafił przypadkowo, w trochę innych okolicznościach mogły to być zupełnie odmienne politycznie partyzanckie oddziały Batalionów Chłopskich czy Armii Krajowej. A nawet Narodowych Sił Zbrojnych, bowiem osławiona Brygada Świętokrzyska na jego terenach aktywnie działała.

Wtedy zapewne jego losy potoczyłyby się zgoła inaczej.

Miał pseudonim „Bartek”, uczestniczył w kilku potyczkach zbrojnych – w jednej został poważnie ranny, co po latach dało znać o sobie. Od politycznych idei GL do PPR, której ulotki, jak wspominała żona Zofia, przynosił do domu, było blisko. Przywiodła go do tej partii bieda rodziny chłopskiej, uświadamiany trwały podział na panów i chamów, a następnie własne już obserwacje z pracy we dworze. Przywiodło go w sposób naturalny – tak jak i całe młode pokolenie wsi polskiej – do radykalnych ruchów społecznych. Okres II wojny światowej i hitlerowskiej okupacji, który nie oszczędził przecież i ziemi kieleckiej, stanowił kolejny etap historycznej edukacji i wskazywał, że aby nie było już nigdy nędzy, biedy i głodu, należy jednocześnie walczyć o Polskę wolną i nową, sprawiedliwą i równą dla wszystkich jej obywateli.

Po wyzwoleniu już jako działacz PPR uczestniczył w epokowym akcie nadziei ziemi chłopom w ramach reformy rolnej. To doświadczenie oraz nowe idee społeczne umacniają przekonanie o wyborze właściwej drogi. Pracował w Komitecie Powiatowym PPR w Opatowie, a do jego domu w Szwarszowicach – w których miejscowa komórka PPR liczyła już 32 osoby – przychodzili kilkakrotnie „uzbrojeni ludzie” z podziemnej organizacji dopytując o gospodarza. W grudniu 1945 roku uczestniczył w I Zjeździe PPR, w 1946 był słuchaczem czteromiesięcznego kursu w Centralnej Szkole Partyjnej PPR w Łodzi, którą ukończył z wynikiem bardzo dobrym, a w 1947 roku został I sekretarzem Komitetu Powiatowego PPR w Giżycku, na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych. Tam właśnie, przez zbieg okoliczności, unika śmierci – miał jechać na motorze na jakieś zebranie partyjne, ale pojechał zastępca. Został zastrzelony przez „żołnierzy wyklętych”, tak zresztą jak wielu innych, nie koniecznie partyjnych działaczy.

Wydarzenia dziejące się na szczytach władzy, związane z tzw. odchyleniem prawicowym i odsunięciem Władysława Gomułki spowodowały tzw. czystkę także w oddolnym aparacie władzy, co

w wypadku Józefa oznaczało odwołanie z pełnionej na Warmii funkcji i powrót do Centralnej Szkoły Partyjnej, tym razem PZPR. W 1953 roku otrzymał polecenie wyjazdu do ambasady w Moskwie na stanowisko sekretarza. Od późnej jesieni 1956, mając zaledwie 36 lat, prawie przez rok był chargé d'affaires zastępując nieobecnego w tym czasie ambasadora. Dobrze się wywiązywał ze swoich obowiązków w tym szczególnie trudnym okresie stosunków polsko-radzieckich, i w tych wyjątkowych latach i historycznych wydarzeniach.

Po śmierci Stalina rozpoczęła się w Związku Radzieckim odwilż, na której fali dokonać się mogła druga repatriacja Polaków z ZSRR. Współorganizował ten wielki kolejny exodus do ojczyzny, spotykał się z ludźmi, którzy wracali z łagrów i z tymi, których wywieziono na Syberię jeszcze w 1940 roku. Były to wyjątkowe doznania, inspirujące do wielu przemyśleń. Wśród ewakuowanych znalazły się tysiące tych, którzy z różnych powodów nie wyjechali do Polski w latach 1944-1946. Należała do nich rodzina Wacka Gabisa zamieszkała w Gliniczach na Wileńszczyźnie. Sam Wacław – żołnierz nowogródzkiego AK – stracił rękę w czasie lipcowej operacji „Ostra Brama” w 1944 roku. Jakimś jednak cudem znalazł się w nowych granicach Polski, a po latach otrzymał upragnioną protezę, o co w czasach powojennych, pełnych okaleczonych jak on, łatwo nie było. Pracował jako portier w sanatorium dla dzieci im. Pstrowskiego w Rabce i cały czas marzył o połączeniu się z rodziną. W 1956 roku wreszcie byli razem – wróciła żona z dwójką dzieci.

Jeszcze większym wydarzeniem był dla Józefa XX Zjazd KPZR ze słynnym referatem Chruszczowa „O kulcie jednostki i jego następstwach”, obnażającym zbrodnie i represje z okresu stalinowskiego. Z Chruszczowem i innymi prominentnymi osobami z radzieckiego kierownictwa spotykał się wielokrotnie, także przygotowując pierwszą, po stalinowskim okresie, wizytę Władysława Gomułki w Moskwie, określającą nowy rodzaj stosunków między oboma krajami.

Po krótkim okresie pracy w KC PZPR, w 1959 roku został II sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Krakowie. Wtedy obowiązała niepisana reguła, że jak pierwszym sekretarzem był ktoś z dawnego PPS, to drugim (do spraw organizacyjnych) była osoba z PPR. I odwrotnie. W popaździernikowym czasie I sekretarzem KW w Krakowie był legendarny działacz PPS Bolesław Drobner, a zastąpił go cieszący się równie wielkim poważaniem i zasługami, także znany członek tej byłej partii, Lucjan Motyka.

Z tamtego okresu wspominał m. in. nierozważne decyzje Zenona Kliszki w 1960 roku, dotyczące likwidacji manifestacji w obronie krzyża w Nowej Hucie, postawionego w miejscu gdzie stanąć miał kościół, a także wyrażał opinie o niedawno powołanym w Krakowie nowym biskupie Karolu Wojtyłe jako zupełnie szczególnej – wyjątkowej postaci w polskim Kościele.

Na pełnionym stanowisku dał się poznać jako człowiek prawy, bezinteresowny, jeden wszakże cel, którego sam nie osiągnął, zaprzętał mu prywatne życie – dążył aby córki skończyły studia wyższe. I to spełniło się niejako w nadmiarze – wszystkie uzyskały nawet stopnie doktorskie. A w domu obowiązywała dyscyplina – za późnowieczorne spóźnienie, poza spodziewaną burą od rodziców, zastawały drzwi mieszkania zamknięte. I bywało, że na schodach długo siedziały czekając, aż je ktoś wreszcie litościwie otworzy. Pomimo stosunkowo wysokiej pensji w domu nie przelewało się – poza niepracującą żoną i trzema studiującymi córkami często należało pomóc starym rodzicom zamieszkającym na wsi. Stąd na pewno nie były to „bananowe dzieci”, abstrahując od tego, że banany jadły tak często jak wszystkie inne, to znaczy rzadko albo wcale.

Z uwagi na pełnione funkcje zwracali się do niego także krewni i znajomi ze swoimi sprawami. Nie lubił niczego „załatwiać”, pomagał w sytuacjach wyjątkowych jak na przykład w znalezieniu pracy dla siostrzeńca na walcowni w ówczesnej Hucie im. Lenina, nota bene po latach aktywnego działacza miejscowej „Solidarności”. Ale gdy kolejny zgłosił się z prośbą o

interwencję w związku z grożącym mu wyrzuceniem z wojsk lotniczych za pijaństwo, oświadczył, że tego pilota – pijaka nie chce znać. W jedną tylko sprawę, budowę szkoły – w ramach ogólnopolskiej akcji budowy 1000 szkół na 1000-lecie – w okolicach swojej rodzinnej wsi zaangażował bez reszty swoje stanowisko i możliwości. Z sukcesem.

Powracają skutki wojennego postrzału i rosnący niedowład nóg. nadto zdiagnozowano stwardnienie rozsiane. Choroba dawała już solidnie znać w czasie pełnionych obowiązków. Na rentę przeszedł w 45 roku życia i przez całe następne 24 lata nie wychodząc z domu, a później poruszając się tylko na inwalidzkim wózku, martwił się o Polskę, tę swoją wymarzoną i wywalczoną.

Z coraz większego oddalenia spoglądał na polityczne wydarzenia, ale obrady „Okrągłego stołu” powitał on, człowiek z innej epoki, z nadzieją i przekonaniem, że jest to jedyna możliwa droga dla kraju. I równie ważne: należał do odchodzącego pokolenia, które ze swych życiowych, tragicznych często doświadczeń, wyciągnęło najważniejszy wniosek, że socjalizm dokonał jednak wielkiej historycznej nobilitacji mas polskich robotników i chłopów, na trwałe zaszczepiając w całym narodzie takie niezbywalne wartości jest równość i sprawiedliwość społeczna.

Przypomnienie powieści Władysława Orkana „Komornicy” z 1890 roku, pesymistycznej i w ponurym kolorycie przedstawiającej ówczesną polską wieś, tylko pozornie odbiega od tematyki. Losy Kazka, młodszego od Józefa o lat kilkanaście, potoczyły się odmiennie tylko z racji wieku, natomiast chłopskie pochodzenie wyznaczyło podobną drogę. Urodził się w 1936 roku nie w biednej chłopskiej rodzinie, a w komorniczej czyli, że rodzice nie mieli ani własnego kawałka ziemi, ani też najskromniejszego nawet domu. Co prawda miało to miejsce w Zakopanem, ale w tamtym czasie ówcześni górale też dudków nie mieli. Niedługo wybuchła wojna, na którą poszedł ojciec, a po powrocie z wrześniowej kampanii zamieszkali u rodziny ojca w

Zabrzeży. U początku lat 1950. przenieśli się do Krakowa w poszukiwaniu zarobku, bo właśnie mówiono, że powstaje Nowa Huta i będzie robota. Ojciec pracował w przedsiębiorstwie budowlanym, a Kazek, po Zasadniczej Szkole Elektrycznej i po jakimś czasie, został nawet brygadzysta w Zakładach Chemicznych Oświęcim. Tu, tak jak wielu innych, wstąpił do Związku Młodzieży Polskiej, był w Zarządzie Zakładowym tej organizacji, a po odbytej w Łodzi Szkole Organizacyjnej ZMP, skierowany został do Zarządu Powiatowego w Nowym Targu.

W gorących dniach październikowych przemian i wydarzeń, 5 grudnia 1956 roku uczestniczył aktywnie w powołaniu Tymczasowego Wojewódzkiego Komitetu Związku Młodzieży Robotniczej. Potem była służba w Marynarce Wojennej, a po jej odbyciu trefił do ZMS, w którym awansował po latach do funkcji wiceprzewodniczącego Zarządu Wojewódzkiego. A później, jak to bywało z niektórymi działaczami ZMS, trafił do aparatu partyjnego, w którym pełnił także funkcję sekretarza Komitetu Wojewódzkiego.

Ktoś dziś powie, taki normalny życiorys PRL-owskiego aparaczyka. Rzecz jednak w tym, że z wielu względów odmienny, niż obecnie powszechnie wyrażane oceny. Jest Kazek klasycznym symbolem pokolenia polskiej biedy i braku nadziei, któremu Polska Ludowa dała szanse nie tylko na lepsze życie, ale i wyznaczyła jego sens. Miała być nim praca dla tego ustroju, który przyniósł już, i nadal miał sprawiać, lepszą przyszłość. Starał się to robić jak najlepiej i najskuteczniej na różnych stanowiskach bez względu na okoliczności, które czasami zaprzeczały szczytnym hasłom. W czasie ponurych wydarzeń marcowych 1968 roku – to mi opowiadał – jako sekretarz Komitetu Dzielnicowego, otrzymał dwie odgórne, sprzeczne ze sobą, drańskie decyzje. No i co zrobiłeś ? Poszedłem na Planty i posiedziałem czas dłuższy, do tego ręki przykładać nie mogłem. Zapewne takich sytuacji było więcej i także tych bez możliwości wyboru, co nie zmienia faktu, że całe te lata poświęcił dla innych. Zaowocowały poważnym zawałem serca, a w

konsekwencji wszczepieniem bajpasów. Prywata w jego wydaniu to dbałość o wykształcenie syna oraz – o ironio w porównaniu do dzisiejszych decydentów życia publicznego – mieszkanie w nowohuckim bloku.

Trudno się dziwić, że Kazek, z takim życiowym startem i doświadczeniem w zmieniającej się na lepsze ojczyźnie w latach PRL-u, w których to poczynaniach aktywnie uczestniczył, nie akceptował, jak zresztą miliony innych, zmian dokonujących się po 1990 roku. Decydowało wtedy pokolenie urodzone już w Polsce Ludowej, pozbawione dzięki niej ponurego kolorytu przeszłości, a ona – tamta Polska – z różnych powodów nie mogła i nie potrafiła sprostać ich rozbudzonym, naturalnym, ale i równie często naiwnym, oczekiwaniom.

Powiedz, stary, gdzieś ty był? Dziwną minę masz.
Pewnieś zwiedził Rzym lub Krym już nie jeden raz.
Możesz wiatry w polu gnał, aż zgubiłeś ślad?
Powiedz, gdzieś pod rynnę wpadł?
Stara wiara znów przygarnie cię – szkoda słów!
Więc uśmiechnij się i do góry głowa! (...)

Powiedz, stary, gdzieś ty był przez okrągły rok?
Pewnie świat nie szczędził ci zmartwień ani trosk.
I choć grałeś, nie dał los tych najlepszych kart.
Siadaj! Może byś coś zjadł?
Stara wiara znów przygarnie cię – szkoda słów!
Więc uśmiechnij się i do góry głowa!

Nigdy nie zapytałem Andrzeja Żabińskiego dlaczego spośród wielu ówczesnych młodzieżowych przebojów upodobał sobie tan właśnie, „Czerwonych gitar” z 1969 roku. Może to były wyrażane poczucia wspólnoty i przyjacielskiej sztamy, które bardzo wysoko cenił i odwzajemniał, a może, jak się po latach okazało, prorocze słowa.

Drogę życiową Andrzeja określiły losy ojca Edwarda – działacza ruchu robotniczego na Śląsku, założyciela i przywódcy

Stowarzyszenia Przyjaciół ZSRR, sekretarza Komitetu Okręgowego PPR w Katowicach. Pod koniec maja 1944 roku, w wyniku zdrady i wielkiej „wsypy” w Zagłębiu Dąbrowskim i na Górnym Śląsku, hitlerowcy aresztowali około 300 osób, których w większości później zamordowali. Wśród nich był także jego ojciec. Ale jeszcze wcześniej, w zupełnie nieświadomy sposób, uczestniczył w działaniach konspiracyjnych, gdy w dziecięcym wózku, wraz z przewożoną bronią, jeździł na spacer. Przez kolejne lata dorastania i młodości znajdował się pod opieką i wielkim wpływem byłych towarzyszy ojca. To wszystko, później wykształcenie, a nadto jego cechy przywódcze i osobowe – był przystojnym, wysokim mężczyzną o ujmującym uśmiechu – kierowało go niezawodnie do służby publicznej. Karierę zaczął od skromnego stanowiska referenta w katowickim Komitecie Wojewódzkim PZPR, potem był szefem miejscowego Związku Młodzieży Wiejskiej, następnie katowickiej organizacji ZMS, by w lutym 1967 roku zostać przewodniczącym Zarządu Głównego Związku Młodzieży Socjalistycznej.

I wreszcie odmieniło się w tej młodzieżówce. Po starym, jak na tę organizację, Stanisławie Hasiaku – byłym sekretarzu partii z Radomia – przyszedł młody, dynamiczny, pełen nowych pomysłów, zapału i chęci do działania. A nadto był bezpośredni, w swoich wystąpieniach komunikatywny, czym różnił się znacznie od przemówień wielu ówczesnych partyjnych bonzów. Imponował nie tylko tym – przypominam sobie, jak do ośrodka letniego ZMS w Gródku nad Dunajcem przyjechał sam ciemnowisniowym fiatem 125p, którego produkcję niedawno rozpoczęto w Polsce. Niby nic nadzwyczajnego, ale w tamtych czasach rozliczni dygnitarze, także i młodzieżowi, wożeni byli przez kierowców w radzieckich wołgach. Tym drobnym gestem mówił wiele: mamy nowy, dobry, polski samochód, i wy także będziecie nim jeździć, musicie się tego nauczyć, tak jak ja. Polska się rozwija, jest głęboki sens aby w tym procesie aktywnie uczestniczyli młodzi. W okresie jego kadencji Związek wzbogacił się o nowe inicjatywy i stał się potężną, sprawną i powszechną organizacją.

Andrzej w prezentowanych poglądach ideologicznych był doktrynerem – w tej materii nie odbiegał od powszechnie wtedy obowiązującej w partii wizji rozwoju społecznego oraz interpretacji zjawisk współczesnego świata. Na łamach „Walki Młodych” – tygodnika ZG ZMS – w cyklu „Nasza organizacja”, pisał u schyłku lat 1960.: „ Członka ZMS powinna cechować wiara i pewność, że socjalizm i komunizm są zwiastunem lepszego społeczeństwa... ”. W tym duchu prowadzona była w Związku działalność ideowo-szkoleniowa, ale dużo ważniejsze, że w tych niełatwych czasach końca lat 1960. wnosił Andrzej do całego, prawie dwumilionowego ZMS-u nadzieję i przekonanie, że my młodzi, oddani idei socjalizmu, urządzimy mądrzejszy i lepszy świat.

Dalsza droga Żabińskiego wiodła przez wysokie stanowiska w aparacie partyjnym – był I sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego w Opolu (niektórzy wtedy złośliwie nazywali go delfinem Edwarda Gierka w Katowicach, co zresztą miało miejsce w latach 1980.), sekretarzem KC PZPR, członkiem Biura Politycznego. Uczestniczył w podpisywaniu słynnych porozumień ze strajkującymi w Szczecinie i w Jastrzębiu Zdroju jesienią 1980 roku. W miarę przebiegu wydarzeń karnawału Solidarności przestał wierzyć w możliwość rozwiązania narastającego konfliktu społecznego metodami pokojowymi. To wyrażane publicznie przekonanie, a nadto, jego zdaniem, zbyt łagodna i ugodowa polityka ówczesnego kierownictwa partii, doprowadziła go do klęski wyborczej podczas IX Zjazdu partii i zaliczenia w poczet „partyjnego betonu” – tych, którzy ratunek dla zachwianego ustroju widzieli w zniszczeniu Solidarności i ewentualnej interwencji radzieckiej. I jeżeli przewidywanie siłowego rozwiązania tamtej sytuacji miało charakter wizjonerski, to zawiodło zupełnie rozeznanie i zrozumienie skomplikowanej gry politycznej prowadzonej z jednej strony przez gen. Wojciecha Jaruzelskiego, z drugiej przez kierownictwo radzieckie. Jedno jest pewne: opinie, postawa i wybory, których w tamtym czasie dokonywał nie miały charakteru koniunkturalnego. Był przecież u szczytów władzy i niewiele

więcej miał do zyskania. A więc o co mu chodziło – zapewne to, że cechowała go „wiara i pewność, że socjalizm i komunizm są zwiastunem lepszego społeczeństwa”.

Ostatni raz widziałem się z Andrzejem w drugiej połowie lat 1980. w ambasadzie polskiej w Budapeszcie – był tam radcą-ministrem pełnomocnym, niejako na wygnaniu. Z długiego, serdecznego spotkania szczególnie zapamiętałem drobny, ale bardzo znaczący fakt – miał wilgotną i jakby opuchniętą prawą dłoń. Pomyślałem, że to zły znak... Spalił się w dążeniu do tej swojej lepszej, sprawiedliwszej Polski – zmarł nie ukończywszy lat pięćdziesięciu.

Trzy tak nakreślone sylwetki z minionej epoki Polski Ludowej, poza istotnymi różnicami, jakże wiele łączy. Wydawało się im, że już jest ten tak społecznie wymarzony nowy ustrój, a okazało się, że pogoń za nim, w której przecież aktywnie uczestniczyli, przypominała wydarzenia z filozoficznego dramatu Samuela Becketta, gdzie Godot, który ma być zbawieniem, nigdy nie nadchodzi. Stało się bowiem oczywistym, że nie na taką realizację rozwiązań ustrojowych polskie społeczeństwo oczekiwało pod koniec XX wieku.

Od początkowych lat PRL przejawiał się, w różnej formie i stopniu, krytyczny ogląd realizowanego ustroju, odnajdujący się m. in. w tzw. kręgach rewizjonistycznych (na ogół byłych aktywnych działaczy partii), które jakoby chciały przekreślić wielki dorobek Polski Ludowej i skierować ją na niewłaściwą, wrogą stronę. Wszelkie bowiem krytyczne, nieprzychylne, bardziej lub mniej publicznie wyrażane oceny na temat rzeczywistości i roli w niej PZPR nie były do przyjęcia przez partyjnego hegemoną, grożąc mu ograniczeniem jego roli. W miarę mijanych lat, z różnych względów i uwarunkowań, zwalczanie takich poglądów łagodniało, a w latach 1980. zyskały nawet prawo otwartego istnienia i nowe określenie jako postawy reformatorskie. Nie prezentowały publicznie, do pewnego czasu, socjaldemokratycznej wizji naszego ustroju, gdyż przekraczało by to niebezpiecznie realne i umowne granice

– wyobrażenia i interesy liczącej się części aparatu władzy, szeregu obowiązujących ekonomicznych dogmatów, niewykształconej demokratycznej świadomości społeczeństwa, a przede wszystkim stanowiska KPZR i ewentualnej reakcji ZSRR.

Nadszedł już dużo wcześniej czas, w którym dotychczasowe możliwości rozwojowe PRL realizowane w ściśle określonych, dotychczasowych ustrojowych ramach, zostały wyczerpane i zahamowane. Znałem dobrze, nie raz spotykałem się, rozmawiałem i współpracowałem z wieloma czołowymi postaciami prezentującymi progresywne poglądy i postawy na rzecz fundamentalnych zmian politycznych, zapewniających krajowi warunki i perspektywy na europejskim standardzie. Byli i są wśród nich m. in.: Kazimierz Barcikowski , Krystyn Dąbrowa, Józef Klasa, Hieronim Kubiak, Andrzej Kurz , Mieczysław Rakowski , Marian Stępień i szereg innych. Prawie wszyscy pochodzili z chłopskich, robotniczych czy też nauczycielskich rodzin, awans społeczny umożliwiła im Polska Ludowa, w której przez lata pełnili ważne i decyzyjne funkcje, co przy wysokim wykształceniu, nabytym doświadczeniu i otwartości na nowe wyzwania owocowało imperatywem nieodzownych przeobrażeń.

Nie czekali na Godota, wiedzieli, że taki, nadal teoretycznie-propagandowo kreowany, nigdy nie nadejdzie. Obracali się w realnym świecie, pragnęli dokonać zasadniczych zmian ustroju i koniecznego, innego urządzenia lewicowych idei w Polsce. Spóźnili się z wielu powodów, przegrali, wszyscy także doznaliśmy porażki, bo to nie lewica kreowała proces transformacji Polski w 1989 roku. A może było to, w polskich, specyficznych warunkach i okolicznościach, poza naszym wspólnym zasięgiem? To pytanie pozostanie bez odpowiedzi.

Autorstwo: Zygmunt Tasjer

Fragment z przygotowywanej książki „Wspomnienie z galaktyki Koziorożca”

Źródło: Trybuna.info